

ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Maja.

N^o 20.

Roku 1857.

STARY KAWALER.

Opowiadanie poufne imiępana Chryzantego G.

Jeśli czytelniku byłeś w Warszawie, i przechadzając się Rybacką ulicą, spostrzegłeś kiedy przechodnia z statecznym i poważnym wyrazem twarzy, z lekkim uśmiechem zadowolonia na ustach, z postawą nieco na przód wychyloną, w stroju według najświeższej mody, z parasolem przy zachmurzonym niebie a piękną trzcina o słoniowej gałce podczas pogody, tedy sam nie wiedząc o tem zrobites moją znajomość. Tym poważnym zadowolonym z siebie przechodniem byłem ja sam we własnej osobie.

Być może że na wszystkie szczegóły mojej powierzchowności nie zwróciłeś należytej uwagi, muszę ci przyjść w pomoc. Jestem jak mówią wzrostu miernego, tuszy dobrej a bogdaj nawet czy nie podsadkowatej; włos mój zaczyna już bieleć na skroniach i czuprynie, w czem zupełnie zgadza się z wąsem i bakenbardami; oczy mam ciemnoniebieskie, choć wielu utrzymuje że zupełnie zbywa im barwy, nos mój cokolwiek kabłąkowaty ale przecież nie tak długi, jak chcą we mnie wmówić złośliwi przyjaciele, zęby acz zdrowe i silne nie celują zbytnią białością, zapewne w skutek nieumiarkowanego palenia fajki i cygarów.

Z tego wszystkiego łączno każdemu utworzyć sobie całkowity obraz mojej niezbyt poutnej i niezbyt też szpetnej powierzchowności, a jeszcze ładniej dostrzedz że przeszedłem już granicę pierwszej młodości.

Rzeczywiście zabrąłem już dość głęboko w piątą krzyżyk, a od kilku lat wstąpiłem z wszelkimi formalnościami w czcigodny zastęp starych kawalerów.

Jeszcze przed laty kilkunastu poskładałem wszystkie egzamina prawnicze i wszedłem w służbę publiczną, a za łaską Boga i względnością przełożonych cieszę się dziś znaczną pensyjką i noszę tytuł sekretarza rady. Nie zbywa mi też wcale na środkach do życia,

które ile możności chciałbym zrobić przyjemnym i wygodnym. Bo jużto wygodę lubię nad wszystko, a i przyjemnością nie wzgardzę w żadnym razie.

Mieszkając przy jednej z najpiękniejszych ulic miasta, bawię się w wolnych chwilach widokiem ruchu ulicznego, a dla tembezpieczniejszej strawności używam codziennie dwugodzinnej drzemki poobiedniej. Jako zaprzyęśli nieprzyjaciel nudów rzadko kiedy spędzam wieczor samotnie. Bywam często w teatrze, a raz w tydzień przyjmuję u siebie przyjaciół, i gramy wtedy preferansika aż do późna po północy.

Przy podobnym rozkładzie czasu i zatrudnienia wyda się niejednemu życie moje wcale szczęśliwym i godnym pozazdroszczenia, wszakże nie tak się ma w rzeczywistości. Opływam we wszystko, nie troszczę się niczem, a przecież dojmuję mi często jakiś dziwny niesmak, dręcą co chwila nudy i coś, coś takiego z czego bym sobie sam nie mógł zdać sprawy, a co ma być niezbędnym przydatkiem charakteru każdego starego kawalera.

Napróżno siłę się zająć w ten sposób wszystkie swoje wolne i niewolne godziny, aby nie mieć czasu do nudów i rozmyślania; napadają mię one przecież w biórze przy referacie, w domu przy preferansie, w towarzystwie pośród przyjaciół.

Najskuteczniejszym środkiem w takich nieszczęsnych razach bywa dla mnie ucieczka w dom mojej siostry, w towarzystwo jej męża i dzieci.

Trzeba bowiem wiedzieć że mam tu w stolicy siostrę zamezną od kilku lat, matkę trojga dzieciak przesłicznich. Mąż jej piastuje dość znaczny urząd w ministeryum, a słynie wszędzie z prawości charakteru i poczciwości serca. Prócz spokrewnienia łączą mię z nim względy dawnej młodzieńczej jeszcze przyjaźni; kochamy się też wzajemnie jak przystoi na szwagrow.

Ileokroć tylko mam humor skwaszony, pędzę co tchu na Miodową ulicę, a znalazłszy się wnet w kole rodzinnem, rozjaśniam czoło i bawię się jaknajlepiej.

Tak przynajmniej bawiłem się pewnego wieczora wobec liczniejszego nieco towarzystwa, popijając wyborną kawę z wyborniejszemi jeszcze sucharkami, gdy wtem ni ztąd ni zowąd wszczęła się rozmowa o ożenieniu.

Młody ośmioletni Ludwiś, najstarszy z moich siostrzeńców, swawolnik pierwszego rzędu, a zuchwalec jakich mało, namyślał się właśnie jakiegoby mi nowego splatać figla, gdy wtem osobliwsza poruszyła nim ciekawość.

— „Wujaszku!“ — zagadnął mię z swawolnym uśmiechem. — „Wyrosłeś tak wielki a nie ożeniłeś się do tego czasu. Czyż nigdy już nie myślisz się ożenić?“

Miałem wielką ochotę pokręcić za ucho ciekawego malca, bo doprawdy w niemały wprowadził mię kłopot. Wszystkich oczy zwróciły się na mnie, i nuż dręczyć mię najrozmaitszemi pytaniami, jakgdyby naprzód tajemny na mnie uknuli spisek.

Przynaglony powszechną ciekawością, musiałem chęć niechęć odpowiedzieć szczegółowo jak i dlaczego zaciągnąłem się pod sztandar starych kawalerów. I oto moja historia:

W dwudziestym drugim roku życia złożyłem ostatni egzamin prawniczy, i wstąpiłem w służbę publiczną. Żywszato krew biła wówczas w żyłach, wrodzony humor wesoły nie spędzał uśmiechu z lic, to też o niczem się nie myślało jak tylko o coraz nowej zabawie, o coraz odmiennem zapełnieniu wolnego od służby czasu. Jako młodzian, pełen świętych widoków, a do tego jak sobie pochlebiam niekoniecznie źle ułożony, byłem nadzwyczaj lubionym w towarzystwie, pożądanym na każdej zabawie i wielce poważanym przez wszystkie matki o jednej lub kilku córkach na wydaniu.

Wszakże dotąd wdzięki niewieście uie wywarły na mnie nigdy silniejszego wpływu. Żadna z pozuczanych piękności nie zajęła mię dłużej jak dwadzieścia cztery godzin. Z czasem znudziły mię te jednostajne towarzystwa miejskie, zatęskniłem w wsia, a wyjednuawszy sobie uwolnienie od służby na dwa czy trzy miesiące, postanowiłem opuścić Warszawę, i przepędzić czas niejakiś w nieznanych mi dotychczas okolicach sandomirskich.

Przysposobiwszy się pospiesznie do podróży, zamówiłem miejsce w wozie pocztowym, i z wesołym sercem pożegnałem Warszawę. Towarzystwo moje w powozie składało się z trzech osób. Na przedzie siedziały dwie kobiety, mimo najpiękniejszego dnia wiosennego tak ciepło ubrane, i tak starannie chustkami i szalami poobwijane, jakgdyby wy-

brały się do Syberyi lub którego z biegunów. Obok mnie zajął miejsce długi i cienki mężczyzna w średnim wieku o niebardzo zalecającej powierzchowności.

Twarz miał niepospolicie nabrzmiałą i nie naturalnie czerwoną, usta zapiekłe, oczy biegały niespokojnie w głębokich jamach, nos niegdyś odmrożony i ztąd biały jak kreda, odbijał w szczególniejszy sposób od karmazynowej powłoki twarzy.

Tak zachwycającej powierzchowności odpowiadało wybornie całe ubranie. Jeśli obiedwie żeńskie towarzyszkki podróży miały zanadto sukień na sobie, tedy niezawodnie towarzysz męski ściągał na siebie zarzut wcale przeciwny. Stary wyszarzały, po wszystkich stronach przezroczystry surdut, podobnych przymiotów pantalon, wypłowiła kamizelka o dwóch czy trzech tylko guzikach, wykrzywione buty i gruba nieświeża koszula stanowiły całą jego garderobę.

Gdyśmy już minęli rogatki Warszawy, zwrócił się do mnie z dziwną poufałością, i zapytał bez wszelkiej przedmowy:

— „Do jakiego stanu należysz pan?“

— „Jestem urzędnikiem. A pan?“ — zapytałem z swojej strony, widząc iż wszystkie w świecie przyjęte formalności nie były tu bynajmniej na miejscu.

— „Ja?“ — odparł — „ja jestem kochaukiem.“

Słowa te wypowiedziane jaknajnaturalniej w świecie, stały w tak rażącej sprzeczności z jego garderobą i całą powierzchownością, że zapomniałem języka w gębie, sam nie wiedząc czy nielepiejby przesiąść się na kozioł do pocztyliona niż znajdować się dłużej w towarzystwie oczywistego waryata. Zdziwienie moje nie uszło jego uwagi.

— „Pan mi nie zdajesz się wierzyć. Mówię jednak szczerą prawdę. Nie doznawszy szczęścia w żadnym zawodzie, amysliłem poświęcić się sztuce, i podjąłem się roli pierwszych kochanków przy wędrującej trupie, która bawi obecnie w S.“

— „Aha“ — rzekłem, odetchnawszy swobodniej — „pan jesteś aktorem?“

— „Rozumie się!“ — zawołał z uniesieniem. — „Wzniosłeto i szlachetne powołanie być tłumaczem jeniuszów!“

Przyznając mu najzupełniejszą słuszność słowem i gestem, usunąłem się w kąt powozu, siląc się ndać spiącego, aby njsć nieprzyjemności dalszej rozmowy. Nie ochroniło mię to wprawdzie zupełnie od natręctwa, zawsze jednak było pomysłem nader szczer-

śliwym, bo przyszły tłumacz jenuiszów czuł niepoohamowany pociąg do rozmowy.

Dopiero też odetchnąłem swobodniej na mojem siedzeniu, gdy nazajutrz ku wieczorowi odsłoniło się miasto S. przed naszymi oczyma. Byłoby przecież miejsce gdzie mój towarzysz podróży miał złączyć się z resztą towarzystwa dramatycznego, gdzie także sam myślałem zabawić przez kilka dni, nie wiedząc jeszcze dobrze w którą stronę przyjdzie mi się udać.

Miasteczko S. leży w prześlicznej okolicy górzyściej, niepodobna jej było pominąć, podróżując jedynie dla przyjemności.

Powóz nasz zatrzymał się przed najporządniejszą oberżą w rynku, i poruczył nas pieczy opasłego oberżysty, który z niesłychaną skwapliwością wybiegł na nasze powitanie.

Wysiedliśmy wszyscy z powozu, a ja pożegnawszy grzecznie towarzyski i towarzysza podróży, kazałem sobie dać osobny pokój w oberży. Gdy rzeczy wypakowano i przeznaczony dla mnie pokój z kilkumiesięcznych wymiatano brudów, wbiegłem na chwilę przez ciekawość do izby gościnnej.

Zastałem w niej jedną tylko osobę. Był to niski, pękaty mężczyzna z ogromnym brzuchem i sążnistymi wąsami, otoczony dokoła kłębami dymu, zakrywającemi po części twarz siną i nabrzmiałą, bure u wierzch wystającą oczy i wargi grube i obwisłe.

Prawie przestraszony tak szpetną i odrażającą fizyognomią, wybiegłem czoływo z szynkowni, nie mogąc się wydziwić przypadkowi, który mię w ciągu krótkiej podróży z tak dziwnymi zapoznaje oryginałami.

Usunawszy się do swego pokoju, zrzuciłem z siebie suknie podróżne, aby przejść się po nieznannej mieścinie i zapoznać się z jej osobliwościami.

Po drodze wstąpiłem jeszcze raz do izby gościnnej. Załadniło ją w ciągu tego czasu trzech nowych przybyszów.

Obok grubego i pękatego jegomości o sążnistych wąsach przysiadł do kordyalnej pogadanki mój długi i cienki towarzysz podróży; nieco dalej ku szaremu końcu stołu rozparli się popijac piwo dwaj małomieszczanie, krawiec i kuśnierz jak się pokazało zaraz z pierwszych słów rozmowy.

Oczywista iż nowo przybyły aktor owładnął wszystkich bystrym potokiem swojej rozmowy, a prawil im rzeczy niestworzone.

Słuchali go też z jaknajwiększem nabożeństwem, a zgarbiony krawiec z szpiczastym nosem i chudemi kościstemi palcami od-

ważył się przemówić po niej jakim namysle, zapewne aby przypochlebić się chudemu tłumaczowi jenuiszów.

— „Nie mogłem tego nigdy pojąć, jak może aktor nauczyć się na pamięć tych wszystkich długich mów, które mu przypada wygłosić w komedyi. Musito być rzecz niesłychanie trudna, niesłychanie trudna“ — powtórzył z głębokim przekonaniem, kładąc ręce na tę część ciała, gdzie prawdopodobnie musiał być żołądek.

— „Oczywista!“ — odparł aktor z protektorskim skinieniem głowy. — „Potrzeba do tego wrodzonego powołania, bo co sztuka to nie rzemiosło“ — dorzucił z przecinkiem do obudwu rzemieślników.

— „O nie inaczej, he, he, he“ — potwierdzał gruby jegomość o sążnistych wąsach, którego nazywano kapitanem, i który wszystko nadzwyczajnie znachodził zabawnem.

— „Muszę jednak przyznać“ — zaczął znowu mój towarzysz podróży — „że niemała dla nas pomocą jest na wszelki wypadek budka suflera.“

— „A zapewne, ha, ha, ha“ — zaryczał głośnym śmiechem opasły kapitan.

— „Niezawodnie!“ — powtórzył obrudzony kuśnierz, siląc się na gwałt do uśmiechu.

— „Nie mówię to dlatego“ — pochwycił szybko głos chudy tłumacz jenuiszów — „aby który z nas nie umiał swojej roli, bo w takim razie nie pomógłby mu cały tuzin suflerów. Sufler nadaje tylko pewność aktorowi, iż ustawicznie czuwa nad nim jakiś duch opiekuńczy, który oie pozwoli mu utknąć wśród roli...“

— „A tak!“ — potwierdził krawiec.

— „Oczywista!“ — zahuczał z śmiechem kapitan.

— „Nieinaczej“ — dorzucił kuśnierz, próbując się również uśmiechnąć.

— „Znałem niezmiernie zdolnego sługę w świątyni Talii...“

— „W jakiej świątyni?“ — zapytał krawiec pospiesznie, udając iż nie dosłyszał ostatnich słów.

— „Mówiłem w świątyni Talii“ — odparł tłumacz jenuiszów napuszysto.

— „Za pozwoleniem“ — wtrącił kuśnierz nieśmiałym głosem. — „Świątynia ta leży zapewne za granicą?“

— „Co?“ — zawołał kochanek w istnej extazie oburzenia, mierząc nieszcześliwego kuśnierza wzrokiem najwyższej pogardy. — „Spodziewam się przecie iż nie masz tu nikogo w naszym towarzystwie, któryby nie

wiedział że świątynia Talii to jedno i to samo co świątynia sztuki lub po prostu teatr.“

— „O rozumie się!“ — zapewniał krawiec, rzucając ukośne spojrzenie na nieuka kuśnierza, choć w rzeczy niewiele czystsze w tym względzie miał sumienie.

Tymczasem nasz kochanek zaczął prawie dalej:

— „Otoż artysta, którego znalazłem, założył się pewnego razu o dość znaczną sumę, że w ciągu jednej z najgłówniejszych rol swoich nie będzie ani razu potrzebował suflera. Tegorocznego wieczora miał się rozstrzygnąć zakład. Mój przyjaciel występuje na scenę z jaknajlepszą fantazyą, i zaczyna grać swoją rolę jak nigdy w życiu. Nagle spostrzega, że budka suflera opróżniona. I rzecz szczególna, słowo w słowo umiał rolę na pamięć, a przecież tak się zmieszał na to spostrzeżenie, że tuż zaraz o mało co nie utknął w mowie. Na szczęście odgadłem natychmiast powód jego zakłopotania, a postanawiając jako przyjaciel ocalić go od przegranej, porwałem pierwszą lepszą książkę do nabożeństwa w rękę, i wskoczyłem w budkę. I w tejże chwili wstąpił duch w biednego artystę. Ochłonawszy z przestrawienia, odegrał swoją rolę jaknajlepiej, i wygrał zakład. Wszedzieto i zawsze“ — dodał z filozoficznym natchnieniem — „przewodniczy życiu naszemu nawyknięcie w parze z wiarą.“

Po tem opowiadaniu ozwał się nowy okrzyk pochwalny z ust krawca, opasy kapitan zagrział swoim zwyczajnym zagłuszającym śmiechem, a kuśnierz skrzywił się jakby do płaczu.

Tłumacz jeniuszów porwał się nagle z miejsca.

— „Tak późna już godzina!“ — krzyknął przestraszony, spozierając na ścienny zegar oberży. — „Przebóg, dziś jeszcze nam przedstawić się dyrektorowi i reszcie towarzystwa, i dziś jeszcze wystąpię po raz pierwszy na scenę.“

I wychyliwszy cożywo jeden jeszcze kieliszek z traktamentu majora a jeden na pożegnanie od krawca, wybiegł spiesźnie z oberży.

Luźna i jałowa ta scena nie weszłaby bynajmniej w tok mego opowiadania, gdyby mi nie chodziło o bliższą znajomość owego opasłego, pękatego jegomości o sążnistych wąsach i niepohamowanej pasyi do śmiechu, którego nazywano kapitanem, a który w historii mego dzisiejszego starokawalerskiego stanu bogdaj czy nie najgłówniejszą odgrywa rolę.“

Nie będę za to nudził czytelnika opisem pierwszego scenicznego wystąpienia chudego tłumacza jeniuszów, choć sam byłem na przedstawieniu, i mówiąc prawdę ubawiłem się jak mało kiedy w życiu.

Bo też niezrównaną była i sama sala teatralna i wszystka reszta trupy artystów, jak równie wyższym nad wszelkie porównanie wydał mi się na scenie mój niedawny towarzysz podróży o karmazynowej twarzy a białym jak ściana nosie.

Nazajutrz nasyciłem się już wszelkimi przyjemnościami i osobliwościami małego miasteczka, a po owej scenie w oberży i późniejszym widowisku teatralnem niewiele sobie obiecując po tamtejszych znajomościach, postanowiłem zrobić wycieczkę w okolice.

Ku południowi też wybrałem się z laską w rękę za miasto, a znachodząc wszędzie okolicę niespodziewanie piękną, spieszyłem coraz dalej bez względu na czas i odległość, aż wreszcie stanąłem u stóp wysokiej góry, u której szczytu jeżyły się zdała szczątki jakiegoś dawnego monasteru.

Kto robi wycieczkę dla przyjemności, a w głowie wiruje mu jeszcze cały chaos studenckich mrzonek romantycznych, teu pewnie nie zatrzyma się u stóp góry, na której wierzchołku zachowały się widome ślady czasów minionych.

Wydrapałem się też natychmiast ku ruinom klasztoru, a zapaliwszy cygaro i usiadłszy wygodnie na kamieniu, zanurzyłem się w głębokie zadumanie.

Uroczą ciszą zalegała naturę, zaledwie kiedyniekiedy tylko można było posłyszeć lekki szmer liści po drzewach i burzanach.

Tysiące polnych koników uwijały się z ćwierkiem po murawie, w oddali nucił smętnie jakiś spiewak napowietrzny. Nademną pod obłokami krążył siwy orzeł; wiosłując leniwie skrzydłami, zdawał się czyhać co chwila na jakąś zdobycz przy ziemi.

Pod mojami stopami kołysały się fale nie-dojrzałych zboż, przerzniętych wąskim gościńcem, który prowadził ku ruinom. Góra miała przystęp tylko z jednej strony północnej, na trzech stronach przeciwnych spadała stromemi ścianami ku olbrzymim bryłom kamieni i odłamom chropowatych skał.

Dumając w miejscu tak ustronnem i uroczystem, wobec tak wspaniałej ciszy natury, poczułem mimowoli całą nicość człowieka a tem bardziej jeszcze nicość mojej własnej osoby, i prawie przestraszony moją samotno-

ścią, uczulem niepohamowaną tęsknotę za jaką drugą podobną sobie istotą.

W tym momencie postyszałem niespodziewanie tuż koło mnie jakiś dźwięczny głos niewieści.

Było radośny wykrzyk: „Złapałam cię przecie.“

Obróciłem się cożywo, mniemając że słowo to stosuje się do mnie. Omyliłem się jednak, i to wcale nieprzyjemny sposób. Wziąłem po prostu siebie samego za małego pieska, który niedaleko odemnie uchodził pogoni jakiejś ścigającej go młodej kobiety. Pędząc co tchu za nieposłusznym zbiegiem, nie spostrzegła nieznaną damą mojej obecności. Dopiero podniosłszy się z ziemi z pojmowanym pieskiem na ramieniu, spotkała się zdziwiona i przestraszona z moją twarzą.

— „Przebóg“ — zawołała, rumieniąc się jak wiśnia.

A była piękna, piękna jak te cuda natury, które ją otaczały. Widząc ją tak nagle i niespodziewanie w całym blasku piękności przed sobą, można było łatwo zapomnieć oczy z podziwu, i ugiąć kolano jakby przed jaką istotą nadziemską.

Dziwię się nawet że przy mojem ówczesnem usposobieniu zdołałem powstrzymać się od tego kroku. Wlepiłem w nią oczy nito w jaki obraz cudowny, sam nie wiedząc jak się znaleźć w takim położeniu.

Na szczęście mały piesek przyszedł nam obojgu w pomoc. Widząc panią swoją czem innym zajęta, wyknął się z jej rąk, i drapnął w pole.

— „Ach, mój piesek, mój piesek!“ — krzyknęła przestraszona — „zabłąka się w tej ustroni...“

— „Złapię go pani“ — zawołałem i nuż cożywo wśród śmiechu i żartów gonić za zbiegiem. Przyznam się jednak że niemało kosztowało mnie trudu, zanim dopiąłem swego.

Z jaką też za to serdecznością podziękowała mi piękna nieznaną. W jednej chwili pękła lodowa bryła, która nas rozdzielała od siebie, i zaczęliśmy rozmawiać jak dawni znajomi.

Opowiedziawszy jej w toku rozmowy kto jestem i jak się nazywam, nie mogłem przeniść na sobie, aby nie zażądać wzajemności w tym względzie.

— „Nazywam się Emilia i jestem...“ — zaczęła, gdy wtem ozwał się z oddali nieco zniecierpliwiony głos kobiecy:

— „Emilio! Emilio!“

— „To moja matka“ — rzekła Emilia, przerywając zaczęta wprzód mowę.

Pospieszaliśmy oboje w stronę, z kąd nas głos dolatywał. Czekala tam jakaś niemłoda, otyła lecz dość jeszcze przystojna kobieta, która na przedstawienie córki z nader ujmującą powitała mię grzecznością.

Wszczęła się zaraz między nami dłuższa rozmowa, i dopiero późnym zmierzchem pozegnaliśmy się wzajemnie. Mój Boże, jakże żywo tkwi mi ta chwila poznania w pamięci. Strudziwszy się wspólną przechadzką, siedzieliśmy obok siebie na odłamie ruin, a ileżto myśli przemknęło wtedy przez moją głowę, ile uczuć zawirowało w sercu. I kiedy tylko przyszło mi spotkać się z jej okiem, przejął mię dreszcz od stóp do głowy, a serce zakotało jakgdyby próbowało rozsadzić mi piersi.

Obojętny dotąd na wdzięki kobiece, poznałem się teraz w jednym momencie z uczuciem silniejszym. Jakgdyby oczarowany, nieprzytomny pod wpływem jej obecności, słyshałem ciągle w mej piersi jakiś głos tajemniczy, szepeący mi rozporaz: Kochasz ją.

Niepodobna do prawdy, a przecież tak było w istocie! Kochałem ją, widząc po raz pierwszy w życiu, nie znając bliżej ani z nazwiska ani z stosunków.

Nieznana mi dotąd radość i rozkosz zalały serce, owładnęły całą moją istotę, poruszyły wszystkimi nerwami. Pragnąłem ścisnąć, całować wszystkich ludzi, moich nieprzyjaciół najzawziętszych, samego nawet pieska, chociaż mię ciągle kwaśnemi mierzył spojrzzeniami.

Jakże przykre wrażenie wywarły na mnie słowa matki, przypominające chwilę rozstania.

— „Już późno, moja Emilko“ — rzekła spozierając na zegarek. — „Potrzeba myśleć o powrocie.“

— „Jak daleko panie mieszkacie?“ — odważyłem się zapytać.

— „Pół mili ztąd“ — odpowiedziała Emilia zrywając się z miejsca, i pospieszając za matką. — „Bawimy w jednej z najbliższych wiosek, a w każdy dzień pogodny używamy przechadzki w tej ustroni.“

— „Więc przybędziecie panie i jutro o tej porze“ — zapytałem po niejakiem wahaniu.

— „Zapewne“ — odpowiedziała żywo Emilia, a lekki rumieniec rozlał się po jej licach.

W kilka chwil potem wsiadły obiedwie do małego powozu, czekającego po drugiej stronie ruin, i pożegnawszy mię ostatnim uśmiechem, znikły z przed moich oczu.

Bijąc się z najdziwaczniejszymi myślami, wracałem do miasteczka. Przyznam się że strasznie trudno było mi oddalać się od ruin. Wszakże mimo to zacząłem sobie wyrzucać, jak mogłem się zakochać w dziewczynie, która raz w życiu widziałem, i która mi nawet nie wyjawiała swojego nazwiska. Ale im głębiej zapuszczałem się w podobne rozmyślenia, tem wyraźniej jakoś stawał mi przed oczyma obraz nieznanym, temśladzszym wydawało mi się jej wspomnienie, i mimowoli musiałem sobie powtórzyć pierwsze z jej ust zasłyszane słowa:

— „Złapałam cię przecie!“

Nazajutrz jak się łatwo domyśleć zwiedzałem znowu ruiny, i znowu też spotkałem się z wczorajszym towarzystwem.

Tym razem jednak mało mogłem rozmawiać z Emilią, bo obudwom damom towarzyszyło kilku nieznanym mężczyznom i dwie czy trzy panie. Lecz sam jej widok wystarczał, aby wszystkie wczorajsze wspomnienia w silniejsze rozbudziły się życie. Wczorajsze niepewne uczucie miłości wzmogło się teraz do istnej namiętności, do najprzesadniejszego uwielbienia.

To też wiele mię kosztowało poskramiać się w obec nieznanego towarzystwa i kłamać obojętność w słowach i twarzy, tem więcej ile że Emilia jak mi się zdało widocznie była uradowana z mojego powtórnego spotkania, i z niezwyčajnym udziałem przysłuchiwała się mojej rozmowie.

Spostrzeżenie to, powiększone nieco przez mikroskop miłości właszej, upajało mię największym szczęściem, i tak silnie zatrzęsło sercem, że całą noc następną nie zmrzyłem oka, oddając się radości niewystowionej.

Nazajutrz przyłożyłem więcej staranności około mojej toalety, a chcąc się niejako w lepszym pokazać świetle, nająłem w miasteczku powóz i konie, i z trzaskiem i szumem pognąłem na miejsce schadzki.

Oczywista iż przybyłem nierównie spieszniej niż było potrzeba, miałem też dostateczny czas przywołać sobie w pamięć cały bieg dotychczasowych wypadków.

Na szczęście w najdrażliwszej chwili podobnego rozpamiętywania nadjechały obiedwie nieznanome. Spostrzegłem uradowany że dziś już przebywały bez wszelkiego towarzystwa.

Pospieszając naprzód na ich przyjęcie, powitałem je jak dawne znajome. Emilia wydała mi się dziś jeszcze piękniejszą niż za pierwszą i drugą razą. (d. n.)

DESZCZE CUDOWNE.

Liczne podania o deszczach cudownych, napotykanie w kronikach średniowiecznych, zachowały się podziśdzień jeszcze między prostym ludem. Nieraz zdarzy nam się posłyszeć, iż w tem lub owem miejscu w znak gniewu bożego lub w złowieszcą przestrożę przyszłości, padał deszcz krwawy, siarczysty, kamienny lub inny t. p.

Wszakże od czasu wynalezienia mikroskopu nie masz nic naturalniejszego w świecie jak podobne cuda mniemane. Umiejętność zna pewien rodzaj roślin pierwiastkowych o drobnych listkach szkarłatnych, który rodzi się w miejscach krwią zwierzęcą zwilżonych, a pleniąc się obficie po całej okolicy, nieraz wszystkim źródłom i potokom pobliskim krwią nadaje barwę. Podobne pozory wywołuje także pewien rodzaj owadów. Sąto poczwarki jednego z rzadszych motylów letnich, wypuszczające z siebie podczas wyłonienia sześć do ośm kropli krwawego płynu. Przebywają one najczęściej w licznych obok siebie gromadach, przezco nieraz wszystka ziemia w pobliżu okrywa się ua pozor krwawą powłoką, a temsamem zradza się między zabobannym ludem podanie o krwawym deszczu.

Jeszcze łatwiej wytłumaczyć sobie deszcz siarczysty.

Na wiosnę po nawałnym deszczu z burzą i grzmotami dają się widzieć po drodze u krańdziej kałuż deszczowych mniejsze lub większe kupki żółtawego pyłu, uważanego dawniej za siarkę. Przy dokładniejszym badaniu okazały się te kupki żółtawe tylko pyłem kwieciami wierzby, zytą, świrków, mchów i innych tym podobnych roślin. Wiatr zwiwaga go z kwiatu i unosi z sobą w dalekie strony, a nawałny deszcz powraca go nazad ziemi. W lecie i jesieni nie dostrzeże już nikt podobnego zjawiska, przypominającego poniekąd siarczyste deszcze Sodomy i Gomorj, bo o tej porze nie masz już nigdzie kwiatu wzmiankowanych drzew i roślin.

Obok deszczu krwawego i siarczystego słychać nieraz między ludem o zabach, spadających z deszczem. Jestto również dowiedzionem złudzeniem. Podczas wielkich upałów letnich chroni się pewien rodzaj zabek zielonych w gęste lasy, aby w cieniu krzewów znaleźć upragnioną wilgoc i ochłodę. Gdy wtem nągły łagodny deszczek zwilży ziemię, wypa-

dają one naraz w licznych gromadach z lasu, i zapełniają wszystkie pobliskie pola i łąki.

To też prostoduszny wieśniak widząc nagle roje zab, pojawiających się w coraz większej ilości wraz z deszczem, wpada łatwo na trop mylny, i wcale prostem zjawisku widzi istny cud natury.

Pozostałoby jeszcze wspomnieć o deszczu kamiennym. Stoi on w ścisłym związku z wielą innymi ognistymi zjawiskami napowietrzniemi, uważanemi niegdyś za złowieszcze znaki niebios. Do takich zjawisk należą osobliwie takzwane gwiazdy spadające i kule ogniste, co w rzeczywistości jest jedno i to samo. Kula ognista wydaje się dlatego tylko nieco większą, bo zwyczajnie w mniejszej odległości przemyka ponad naszymi głowami.

W miejscach gdzie spadły takie kule ogniste znachodzą często osobliwsze kamienie tak zwane meteory, zawierające w sobie mniej więcej znaczne cząstki czystego żelaza. Poczytywano je długo za zjawiska zupełnie odrębne, bo ogniste kule pozwalają widzieć się tylko wtedy, kiedy płyną i pękają, upadając zaś gasną zazwyczaj.

Późniejsze dokładne badania przekonały jednak najzupełniej o tożsamości obudwóch zjawisk. Ognista kula, przemykająca w powietrzu, lub gwiazdka, odrywająca się od sklepienia niebios, jest jednym i tym samym meteorem, który nagle znachodzą na ziemi.

Znamy dotychczas do czterechset takich deszczów meteorowych.

Najszczególniejszy z nich spadł w *Stamern* w Morawii dnia 22 maja 1808 roku, o 6 godzinie zrana.

Podczas gęstej mgły rozległ się huk jakby z wystrelonej armaty, a potem ozwały się nieco słabsze grzmoty, połączone z głuchym hurkotem, świstem i rykiem. Przerazający ten stan nieba trwał kilka minut, a w tym czasie spadły w okręgu trzech mil mnogie meteory, które w części głęboko wbiły się w ziemię, a w części zlekka przemknęły po powierzchni.

Gdy się uspokoiło na niebie, znaleziono do dwóchset kamieni, ważących od pół luta do dwunastu funtów. Wszystkie były kruche, ziarniste, dziurkowane, wewnątrz białe lub siwe, a z wierzchu otoczone czarną lśniącą powłoką. Nie zawierały one w sobie czystego żelaza tylko gdzieniegdzie grudki krzemienia żelaznego i magnezowego.

Najwięcej żelaza znajduje się w meteorach które w znaczniejszej wielkości spadają na

ziemię. Jeden z takich znaleziono przed kilkunastu laty w Styryi. Waży on 218 funtów, i spoczywa cały pod silną czarnobrunatną korą żelaznej oxydacyi.

Podobne deszcze meteorowe stały się już nieraz przyczyną nieszczęść, zabijając przechodniów i zapalając budynki; przypisywauę im jednakże własności złowieszcze, należy policzyć do najgrubszych zabobonów ludu.

Francuzka tradycya o Romeu i Julii. W departamencie *de Lot- et- Garonne* utrzymuje się podanie między ludem, według którego Romeo i Julia żyli niegdyś w francuzkiem miasteczku *Veronne* a nie w włoskiej Weronie. W niedalekiem od *Veronne Agen*, miejscu urodzenia *Scaligera*, znajduje się źródło, nazwano po nazwisku tego sławnego uczzonego, a gmin utrzymuje że w tem miejscu odbywały się schadzki zakochanej pary. Wszystkie też imiona, użyte przez Shakespeara, odpowiadałyby brzmieniem podaniu francuzkiemu. *Montagut* byłoby nazwisko francuzkie *Montague*, *Romeo* zmieniłoby się w Romieu a *Escalus*, książę Werony, w *Lescale*. „Komu wiadomo z kąd Shakespeare czerpał osnowy do swoich dramatów“ — kończy *Athenum français* krótką rozprawkę w tym przedmiocie — „temu podobne przeniesienie miejscowości z Francyi do Włoch nie wyda się bynajmniej nieprawdopodobnem. W kazdym razie studnia *Scaligera* w *Agen* może się nazwać godnem miejscem do schadzek obojga kochanków. Jestto przeszliczna ustrój otoczona murem, okryta dachem i ocieniona rozłożystemi drzewy. Głębokie marmurowe koryto, oprawione w małej sztucznej skale, zawiera źródł czystej jak krzyształ wody, w której nieraz może w cudnym blasku odbiła się twarz nadobnej Julii.

Marat powieściopisarzem. Wiadomo powszechnie że osławiony członek konwentu i redaktor *Przyjaciela ludu*, Jan Paweł *Marat*, próbował się także na polu naukowem, i pozostawił kilka dzieł treści filozoficznej i fizykalnej, wszakże nieznanym zupełnie był do niedawna jego zawód powieściopisarski. Oprócz znanej rozprawy filozoficznej *O estowicku*, drukowanej nakładem Marka Michała *Reya* w Amsterdamie roku 1775, a zgromionej z jadowitą złośliwością przez *Voltera*, oprócz późniejszych nieco rozpraw o świetle, optyce, ogniu, elektryczności i głośnego wręście pamfletu przeciw akademii francuzkiej p. n. „*Modni szarlatanii czyli listy o akademicznym szarlatanizmie*, jest *Marat* także autorem dwutomowej powieści, mającej dla nas pewien interes. Bohater powieści okazuje się bowiem rodowitym Polakiem, a większa część działania odbywa się nad brzegami Wisły. Książka nosi tytuł *Przygody młodego hrabi Potowskiego*, *Romans sercowy* przez Jana Pawła *Marat*, a zeszłego roku wyszła w Lipsku u Kollmana w przekładzie niemieckim. Dzienniki francuzkie opowiadają ciekawe szczegóły z jej historyi. Spoczywała ona przez długie lata w manuskrypcie w rękę siostry autora, panny *Albertyny Marat*, która przynaglona ostateczną potrzebą, dopiero przed kilkunastu laty sprzedała ją bogatemu księgarzowi Marcinowi *Aimé*. Manuskrypt, pisany cały z wielką starannością własną ręką *Marata*, nie doczekał się jednak spieszego nakładu. Marcin *Aimé*

pokazywał go jako osobliwość znajomym i przyjaciółom, nie myśląc wcale o druku. Dopiero po jego śmierci udało się przed siedmiu czy osmiu laty znanemu powieściopisarzowi Jakóbowi Bibliophile (Paul Lacroix) doprowadzić pierwsze wydanie do skutku. Pokazało się z wielu drobnych okoliczności, iż okropny członek konwentu napisał swoją „sercową“ powieść, będąc jeszcze lekarzem w służbie hrabi Artois. Tehnie ona cała ową przesadną sentymentalnością, jaka panowała wówczas w całej literaturze francuskiej, a do której *Marat*, wychowany w zaciszu wiejskiego pożycia szczególniejszy za młodu miał pociąg, jak w jego biografii dowodzi *Fabre d'Églantine*. Osobliwszy ten rys charakteru, tak sprzeczny z historią okropnego terrorysty, nie może nas bynajmniej zadziwić, gdy zważymy jak sentymentalnym i dobrodusznym był sam *Robespierre* wpożyciu domowym. Krytyka francuzka niebardzo pochlebnie wyraża się co do literackiej wartości *Przygod młodego hrabi Potowski*. Cała też książka bardziej jest ciekawa pod względem autora niż pod względem swej treści.

Świeżość płci u Angielek. — „Wiadomo“ — pisze w najnowszym swem dziele znana autorka niemiecka, *Amely Bolte* — „jak czerstwo i zdrowe wygląda w ogóle lud angielski, a osobliwie jak piękna i świeża jest zawołana płeć Angielek, a przecież w Anglii nie znają żadnej z owych wód upiększających i innych środków kosmetycznych, któremi my nieraz tak srodze dręczymy naszą skórę. Angielka nie zdaje się na skórę najmniejszej zwracać uwagi, a mimo to przewyższa ona pod tym względem w wysokim stopniu każdą inną kobietę. Jestże to jakiś wyłączny przywilej natury dla cór Albionu? Bynajmniej. Przychodzą one do tego własnem staraniem a to najprostszym w świecie sposobem. Każda Angielka potrzebuje przynajmniej dwa razy tyle mydła co inna kobieta, a żadna nie ubierałaby się rano, nie natarłszy poprzednio mydłem i ostrą flanelą całego ciała swego od twarzy aż do małych palców u nóg. To też każda Angielka wonieje niejako świeżością, gdy rano przybedzie ubrana do śniadania. Nie mniejszą też staranność około czystości ciała zachowują one, zabierając się do snu. Przyzwyczajona od dzieciństwa umyć przed spaniem twarz i ręce i rozczesać włosy, Angielka nie zasnąłaby inaczej. Dzięki tak naśladowania godnym zwyczajom nie znają córy Albionu owych piegów i plamek cery, którym tak często podlegają inne kobiety, a przeciw którym uciekają się do pomocy najdziwniejszych środków szarlatkańskich.“

Mineralne źródła iwonicckie używały dawniej o wiele głośniejszej niż dziś reputacji. *Nowe Ateny* Chmielowskiego mieszczą je obok najcenniejszych źródeł zagranicznych, a opisują w sposób następujący: „W górach w Polsce wyżej Krosna koło wsi *Jeżaniec* czyli *Iwonicez* znajduje się źródło *cum incremento* miesiąca przebywające, *cum decremento* ubywające. Toż źródło zbliżywszy do niego świecę zapaloną zajmuje się jak gorzalka, a to z racyi stojącej na wierzchu siarczystej i tłustej materii, i nie zaraz chyba po dobrem wody skutecznemu gaśnie. Takież źródła od ognia zajmujące się są koło wsiów *Głowienka* i *Tarasowka* niedaleko

Krakowa. Wyżej *Sacza* mają znajdować się takie wody, że jak ich kto z między skał nabierze i wyniesie z tamtego miejsca cyrkumferencyi, zaraz grzmoty, pioruny i deszcze powstaną cudowne.“

Oryginalny zwyczaj wzbogacania języka panuje na wyspach Sandwichskich. Jeśli jaki mniej zwyczajny zwrot mowy przypadnie do smaku któremu z dowódców, tedy przywłaszcza go sobie w miejsce dawnego imienia, a ściągnięciem całego frazesu w jeden wyraz zaciera zupełnie jego znaczenie pierwotne. Głośne np. w nowszych czasach imię władców wyspy *Otaitei* „*Pomare*“ powstało zupełnie podobnym sposobem. Pewnego naczelnika dręczonego ciężkim kaszlem, zapytał jeden z przyjaciół: „*Jaką noc kaszlu miałeś dzisiaj?*“ To niezwykajne wyrażenie się *noc kaszlu* (*po, noc, mare, kaszel*.) podobało się tak wielce choremu naczelnikowi, iż odtąd przeważał się raz na zawsze *Pomare*.

Osobliwszy medal. Gdy w roku 1679 Duńczycy oblegli Hamburg, a po długich i unogich bezskutecznych zabiegach musieli ze wstydem odstąpić od oblężenia i wracać do ojczyzny, wybili mieszkańcy Hamburga medal na pamiątkę tego zdarzenia. Po jednej stronie medalu stał napis: „*Roku 1679 był król Duński pod murami Hamburga.* — Czego dokaż dowiesz się na odwrotnej stronie.“ Tymczasem odwrotna strona była zupełnie póżna.

Wróżbiarstwo w Ameryce. Eksploatowanie łatwości ludzkiej tworzy w północnej Ameryce osobną gałęź przemysłu i zarobku. W jednym z najnowszych numerów *Heralda nowojorskiego* czytamy np. następujące ogłoszenie: „*Pani Meyer poleca się publiczności do wszystkich wyjaśnień nadprzyrodzonych. Daje najdokładniejszą wiadomość o każdym stosunku przyszłości, przepowiada niewątpliwie i niezawodnie we wszystkich niepewnych sprawach ludzkich, mianowicie w sprawie przyszych małżeństw, podróży, procesów, chorób, nakoniec oznacza dzień i godzinę śmierci. Mówiąc zarówno językiem angielskim jak niemieckim i francuskim przyjmuje w swoim mieszkaniu przy ulicy Floor pod liczbą 181 od godziny 9 zrana do 12 w południe, a od 3 po południu do 7 wieczór. Bilet wstępny kosztuje dwa talary.“*

Spokojne sumienie. W najporządniejszym sklepie jednego z większych miasteczek niemieckich, kupił sobie pewien obywatel wiejski głowę cukru. Przyjechawszy do domu, znalazł w cukrze półtora funta piasku. Uniesiony gniewem, posłał zaraz do wychodzącego w miasteczku dziennika następujące ogłoszenie: „*Dnia... kupiłem w jednym z porządniejszych sklepów tutejszych głowę cukru, a znalazłem w niej półtora funta piasku. Upraszam aby niesumienny kupiec pod niżej wyrażonym adresem nadał mi za to niezwłocznie pocztą piętnaście funtów dobrego cukru, inaczej wymienię publicznie jego nazwisko.*“ We dwa dni później otrzymał ośm paczek od ośmiu kucepów z żadaną ilością cukru i grzecznym listem przepaszającym. Widać jak czyste miał każdy z nich sumienie.